

Szkółka



niedzielnia

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwym.

LESZNO. W Niedzielę dwudziestą trzecią po zielon. świątkach dnia 11. Listopada 1838.

—————

RELIGIA.

Żywot Świętego Karóla Boromeusza, kardynała i arcybiskupa medyolańskiego.

Czternaście mil od miasta Medyolanu, w północnych Włoszech, posiadał Gilbert Boromeusz, hrabia, zamek, Arona zwany. W tymto zamku żona jego, pobożna Małgorzata, z sławnego domu Medicis, powiła mu syna dnia drugiego Października roku tysięcznego pięćsetnego trzydziestego ósmego, który na chrzcie świętym otrzymał imię Karóla. Rodzice jego wielkie mieli w całym Włoszech znaczenie, tak dla swojej świeckiej dostojności, iako i dla cnót prawdziwie chrześcijańskich: byli bowiem pełni wiary i dobrych uczynków. Można ich było wszystkim za wzór wystawić. Mając tak piękny przykład przed oczyma Karól, od kolebki przejmował się nim cały, i już w młodzińskich latach okazywał znaki przeszłej świątobliwości. Naymilszą dla niego zabawą była modlitwa i nauki, i we wszystkim okazywał iakoś skłonność do służby bożej. Oyciec i matka pragnęli, aby się poświęcił stanowi duchownemu; nie chcieli go iednak do niego zmuszać, własnej jego woli zostawiając wybór stanu, a ten wypadł

do ich życzenia. Przed dwunastym rokiem odebrał pierwsze święcenie, tonsurę zwane, i już wtedy przez swój prosty ubiór, przez swoją stateczność i skromność dawał każdemu poznać, że wie, czego po nim stan do którego się zabierał, wymaga. Gdy miał lat dwanaście, zrzekł się stryja iego, Cezar Boromeusz, dochodów dwóch opactw, i to na korzyść iego, które on znając już przepisy kościelne, pod tym tylko chciał przyjąć warunkiem, ięzliby, odrachowawszy tyle, ileby na iego wychowanie i usługę kościelną przypadło, resztę rozdawano na ubogich. Słyszając to oyciec iego, rozplakał się z radości, i uczyniono zadość iego woli. Początkowe nauki odebrał młody Karól w Medyolanie, a potem wysłany został do miasta Pawii, gdzie poświęcając się z wielką pilnością prawu kościelnemu i ciwilnemu, otrzymał zaszczytny tytuł doktora obojga prawa. Przytém przyświecał drugim prawdziwą pobożnością i roztropnością, a przez przeczorne czuwanie nad samych sobą i częste przystępowanie do stołu pańskiego, wśród złych przykładów swoich rówieśników, zachował swoją dziewiczą niewinność. Chociaż nadewszystko polubił sobie samotność, iednakże przyjmował do siebie z wszelką uprzejmością i wesolnością tych, co z nim rozmówić się chcieli.

Po śmierci oycy, ukończywszy nauki w Pawii, wrócił się do Medyolanu, właśnie, gdy brata jego matki, kardynała Iana Angelo, obrano w Rzymie papieżem, pod nazwiskiem Piusa czwartego. Skoro tylko wstąpił na stolicę apostolską Pius, przywołał Karóla do siebie, oddał mu ważne urzędy duchowne, i wyniósłszy na godność kardynała, nominował go arcybiskupem medyolańskim. — Zostając przy boku papieża, we wszystkich sprawach był jego prawą ręką; a nie mogąc osobiście zarządzać swoją dycezyą, obrał sobie za swego zastępcę (sufragana) w Medyolanie, biskupa Hieronima Ferragate; a za oficjała, Mikołaja Ormaneto; mężów doświadczonej pobożności i niezmordowanych pracowników w winnicy Chrystusa. W roku tysięcznym pięćsetnym sześćdziesiątym drugim, umarł mu iedyny brat, hrabia Fryderyk. Cies ten dotkliwy zniósł po chrześcijańsku. A gdy go wszyscy namawiali, aby wystąpił z stanu duchownego, i ożeniwszy się, był podporą familii; opierał się temu stale. Nakoniec, żeby się uwolnić od wszelkich nalegań w téj sprawie, wyświęcił się na kapłana, gdyż dotąd nie był ieszcze tego uczynił. Po śmierci Piusa czwartego, w roku tysiąc pięćset sześćdziesiątym piątym przypadłéy, gdy kardynał Antoni Michał Ghisleri, papieżem był obrany, szczególniéy za jego staraniem, udał się do swoiéy dycezyi, do Medyolanu, gdzie był z naywiększą okazałością przyjęty. Tu z całą gorliwością pasterza zajął się dobrem swoich owieczek, a znalazłszy wiele do naprawienia, nie lękał się żadnych przeszkód, i wziął się szczerze do pracy. Nie szczenił ani kosztów, ani trudów osobistych, i nawet z uszczerbkiem swego zdrowia zwiedzał kościoły w swoim obrębie, ka-

żąc niekiedy i po trzy razy na dzień. Prócz wiele zakładów, które ze swoiéy kieszeni wystawił i uposażył, zakładał szkółki, i w nich szszególniéy religii uczyć zalecał. Gdy w roku tysiąc pięćset sześćdziesiąt dziewięć wielki był nieurodzay, a po nim i głód nastąpił, okazał się prawdziwym oycem swoich dycezanów, bo nietylko w mieście Medyolanie, ale i po wsiach, zgłodniałych ze swoich zasobów żywił. W roku tysiąc pięćset siedmdziesiąt sześć, okropny mór panować zaczął. Za staraniem Świętego Karóla, znoszono chorych do wielkiego domu za miastem, aby ich od zdrowych odłączyć. Lecz cóś, kiedy im na wszystkiém zbywało! Stan tych nieszczęśliwych był opłakany. Cóż robi ten wielki mąż? Oto wszystko ze swego pałacu, nawet łóżko własne, posłał tym nieszczęśliwym, których było tysiąc czterysta, i o nich, gdy władza świecka niemi się opiekować nie myślała, pieczołowite ma staranie. Dla ubłagania karzącego ludzi tą chłostą Boga, nakazał publiczne modły, processye, i sam na czele duchowieństwa, bosy i z wielkim powrozem na szyi odprawiał takowe; a przy każdéy processyi kazał do ludu z wielką żarliwością. Zaradziwszy potrzebom chorych, tak duchownym, iako i cielesnym, w mieście, udał się na wśie, i stał się prawdziwym aniołem dla opuszczonych wieśniaków. — Zaczęło nareszcie ustawać powietrze, a Karól święty, co wszasie onego wszystko poświęcił, a nawet i długów dla cierpiącéy ludzkości narobił, zalecił dziękczynienia, które ku zbudowaniu wszystkich odprawiane były. Ten mąż tak wielki, co cały swój majątek oyczysty i dochody duchowne na ubogich rozdawał; który sam żył iak gdyby nędzarz, aby tylko drugich mógł wspie-

rać; ten biskup, mówię, tak święty, nie był bez nieprzyjaciół! Nawet księża czyhali na jego życie; ale to byli tacy, którym przepisy kościoła były za przykre, a do których wypełniania on ich przynaglał. Nareszcie, pełen zasług przed Bogiem i ludźmi, przeniósł się do wieczności, po wieniec chwały, czwartego Listopada po północy, roku tysiąc pięćset ośmdziesiąt cztery, zostawiwszy nam przykład wielkiej pobożności, umartwienia i dobroczynności. Za przyczyną Świętego Karóla, wielu wiele doznało cudów od Boga. Na mocy tych, Paweł piąty, papież, roku tysiąc sześćset dzieścię, wliczbie Świętych go umieścił.

ROZMAITOŚCI.

Słów kilka

o odbywaniu gromady w gościńcu.

„Nie masz nic gorszego na świecie, iak, gdy sołtys zwołuje gromadę do gościńca. Zeydzie się komotr z komotrem, sąsiad z sąsiadem, krzesny, wuy, stry, i tak dalej. Ieden drugiego częstuie, i zmusza do picia. Z początku idzie wszystko wesoło; ściskają się i calują; ale, iak już dobrze wkule naleją, Piotr przymawia Pawłowi, Klemek Grzeli; od słowa do słowa, przychodzi do czubów; a niekiedy i panu sołtysowi, gdy wpiianstwie rey prowadzi, nie mało kłaków ze lba nadrą. Wrzask, tartas. Zlatują się żony; krzyczą, klną, wyrzekają: a bodayci się wgardło zapaliła! ty taki, ty owaki! Temu wszystkiemu przypatrują i przysłuchują się dzieci,

i tak zaraz zmlodu uczą się, iak się to mają gromady odprawiać. O! bodayby ich nigdy nie było, kiedy takie tylko bywają! Ktoż z tego korzysta? Oto nieuczciwy szynkarz, bo mu gorzałka idzie od ręki. Leie na bór, a potrójną kredką maluje kréski na belce. Bo czy nie prawda, Ignacy?“ tak mówił, wzdychając, stary Onufry. — „Prawda, oy wielka prawda! W gościńcu, to oni wieley panowie; ale w domu, to nie ma czém biędy odegnąć!“ odpowiedział mu na to Ignacy. — „Dla tego to radzą i radzą, a nie nie uradzą. Iakżeż téż można przy gorzałce radzić!“ mówił dalej Onufry; „ia zaś powiadam, żeby to naylepię było, gdyby gromady odbywały się nie w gościńcu, lecz tylko u sołtysa, albo u którego ławnika, lub gospodarza, co ma obszerną izbę. Nie mieliby sposobności, upiać się, marnować czasu i grosza. Ale tak, iak teraz się u nas dzieie, to żal się Boże!“ — „A iakże temu zaradzić?“ rzekł Ignacy, „kiedy ten nieszczęsny gościniec wszystkich do siebie ciągnie, iak zaczarowany.“ — „Iak zaradzić?“ odpowiedział Onufry; „na wszystko iest sposób, toć i na to nie braknie. Niech tylko każdy na to uważa, co dobrodziej w kościele o piianstwie powiada, iak ono to szkodzi i ciału i duszy, to mu się zapewne wódki odechce; hoto przecie straszne są słowa Pana Boga! żaden piianica nie wniydzie do królestwa bożego.“ — „Hale!“ odpowiedział Ignacy, „bo te piianki tego słuchają. Co święto i niedziela lecą do miasta na te przekłete targi. Prawda, że i w mieście można Mszy świętę słuchać i kazania, ale oni zamiast do kościoła, to do Moška lub Ićka idą na gorzałkę. Czasem się im przyśni zayrzeć téż do tego domu bożego; ale kiedy? oto

gdy ksiądz odchodzi od ołtarza; i na co się to przyda! Zeby to odemnie zależało, toby zaraz te niedzielne szachrayki musiały ustać; a ktoby się ważył w święto na targ przyiechać, toby mu gnaty pomieszał! — „Wiedziecie co, mój Ignacy,“ rzekł Onufry, poczęści macie i prawdę bo z tymi ludźmi dobrocią nic nie wskóra. Dobrzeby to było, gdyby ostro zakazali niedzielnych targów; ale wróćmy się do gromady. Wprzyszła środe mamy się znowu poschodzić do gościńca. Co tam będzie, nie wiem. Ale wiedziecie co? Wy, iako ławnik, po ukończonej gromadzie rzekniycie też słów kilka przeciw zgromadzeniu się naszym do gościńca. I waszą mowę będę popierał. Zuaydzie się może i więcej takich, co za nami pójdą; boby też to było i czas zapobiedz temu powszechnemu zgorszeniu. Natrzyycie tylko wprzód waszemu ziemiowi dobrze uszów, i zakazcie mu się upiać pod błogosławieństwem, a przy pomocy bożej, to wszystko dobrze pójdzie. I a popadnę dobrodzieiaszka, aby swoją naukę o pijaństwie ponowił; a iako pijaków weźmiemy w dwa kiie, to i gromady będą spokojniejsze, a dla gminy pożytek nie lada. Mam dom obszerny, chętnie do siebie gromadę przyjmę, bo niczego nie żałuję, kiedy tylko widzę, że i Bóg ma chwałę i ludzi pożytek.“

Doskonały nawóz na łąki.

W dole 20 stóp długim, a 12 lub 18 szerokim, ułóż warsztwę gnoiu bydłowego; na to równy grubości warsztwę ziemi, znowu gnoiu, znowu ziemi i t. d., i polewaj każdą warsztwę ziemi wodą, z gnoiówką lub urykami rozmieszana. Gdy tak cały dół napelnionem zostanie, zostaw przez sześć miesięcy, a będziesz miał masę, którą uprawiona, czyli narzucona łąka, pięć razy obfitszy plon wyda.

W pewnym miasteczku zabodła krowa burmistrza na pastwisku krowę wyrobnika. Wyrobnik poszedł do burmistrza, i rzekł: „Wielmożny magistracie! moja krowa zabodła waszą; cóż mam za nią zapłacić?“ — „Ha!“ — rzekł burmistrz, „musisz mi inną krowę, tak dobrą i młodą, iako moja była, odkupić, i zapłacisz talara kary.“ — „O nie!“ — odpowiedział wyrobnik; „ja się omyliłem, to wielmożnego magistratu krowa moją zabodła.“ — „A to co innego,“ — zawyrokował burmistrz; „twoja krowa powinna się była mojej z drogi umknąć.“